

Filip Duval

Człowiek z prefabrykatu

Nie wiem, jak to teraz będzie.

Boję się, że ją zamkną. Że mnie wyleją i wywalą z mieszkania na zbity pysk.

Idzie nowe, mówią, idzie lepsze. Zawsze tak mówią, a potem przychodzi złe i jeszcze gorsze.

Jest luty, jest zimno, jestem ja skulony na tramwajowym krześle, tulę się sam do siebie, bo nikogo innego tu obok nie ma, tulę się i trzęsę, ilekroć otworzą się drzwi i zawieje mrozem.

Mam bilet, ale go nie skasowałem i chyba, tak, tak, na pewno już go nie skasuję. Może akurat się kanar doczepi, będzie z kim pogadać, nawet jeśli niemiło.

Zawsze coś.

Wracają z dansingu późno w nocy, więc chowam się pod kołdrę i kładę brzuchem na „Winnetou”. Nie wchodzi do mnie, od razu padają w sypialni na łóżko i zasypiają, więc czytam dalej z latarką w ręku, czytam aż do rana. Za oknem słyszę czasem jakiś hałas, poruszenie, ale jestem na preii, strzelam się z bladymi twarzami – to mnie obchodzi, a nie szary świat. Dopiero rano ktoś dzwoni do drzwi, dzwoni i puka, aż ojciec w końcu zwleka się z wyrka i otwiera, a tam pan Bogdan jak kałach wypluwa z siebie

Andrzej ty nic nie wiesz Andrzej wojna jest Andrzej co to będzie nic ci nie mówili?

Matka biadoli i płacze, ojciec tylko w ciszy prasuje mundur, bo telewizor śnieży, telefon i radio milczą obrażone i nie wiadomo, co robić, bo może inspektor Andrzej gdzieś powinien być, może na komisariacie, a może nie, może powinien czekać, a może brać walizki, żonę za rękę, mnie pod pachę i wiać w góry do wujka Staszka?

Nie wiadomo. Nic nie wiadomo. A potem przyjeżdża radiowóz i wiadomo już wszystko.

Nie ma go bardzo długo. Jest za to chaos, zamieszki, godzina milicyjna i przerwy w dostawach prądu.

Bąłem się, że nie wróci.

Nie wrócił.

Przywieźli kogoś innego, kto ciągle chlał i czasem płakał.

Kiedyś słyżałem, jak obiecuje matce tym swoim pijackim gulgotem

nie Haniu nie ja nikogo nie rozkazu też nie wydałem nie kurwa Hanka przecież ja w drogówce jestem!

Przechlał w te parę lat całe życie swoje i matki, wykończył najpierw siebie, potem ją i teraz nie ma mnie kto bronić, a jemu raz się to przecież udało, powstrzymał nowe-lepsze i dostał za to medal, którym się nam nigdy nie pochwalił, a który sam ostatnio znalazłem w szufladzie.

Milicjant, stan wojenny, medal za zasługi dla obronności kraju. Kiepskie połączenie.

Nowe-lepsze go znajdzie – medal, ojca i mnie też znajdzie, znajdzie i wyjebie z mieszkania, bo to przydziałowe, więc przydzielili komuś innemu, co zasłużył, a mnie wyjebie razem z książkami matki, szachami ojca, tym jebanym medalem i meblóścianką, i będę się snuł ulicami, tramwajami jeździł bez pracy, bo z niej też wyjebią, bez celu i bez biletu, przez oszronione okno będę patrzył na nowy-lepszy Jubilat, nowe-lepsze Forum, nową-lepszą Koronę, nową-lepszą W...

Mówią, że świat teraz będzie stał otworem.

Potworem, chyba.

Zeżre nas, ludzi z prefabrykatu i pleksi.

O, już Gertrudy, już Wanda na rogu czeka na mnie, ale to nie dziś, Wandziu, dziś nie wieczór filmowy, mam tylko bilet na tramwaj, na seans mnie z takim nie wpuszczą. Dziś zapraszają mnie jedynie Planty, tam ławka, tam flaszka i może znajomy ktoś, a może nieznajomy wcale.

Niedawno byłem na „Szklanej pułapce”, akurat po świętach film świąteczny sobie zapodałem, bo nie miałem świąt. Ten Bruce Willis fajny, trochę mi ojca przypomina, on też był taki

zaradny, twardy, potrafił dać w mordę i pożartować. Może teraz, jak już przyjdzie to nowe-
lepsze, jak świat stanie otworem i Polska też, to taki Bruce tutaj przyjedzie? Do nas, do
Krakowa? Może powie tym od mieszkania i roboty

jupikajej skurczybyki Jacek to jest równy facet mi go tu zostawcie w spokoju garyt fellas?
garyt?

I oni przytakną, bo z Bruce'em nie ma żartów i ze mną też nie ma, nie będzie.

I mi jej nie zamkną.

Na ławce białe kreski śniegu, strzepuję je rękawiczką i siadam na zmrożonych deskach, Planty
dziś puste, może nie ten dzień, nie ta godzina, ale dla mnie wszystko jedno, właśnie tu i teraz
zagram hejnał na miarę możliwości, już, tylko odkręcę, ech, paluchy zgrabiałe, bo mróz,
cholera, zębami odkręcę, cyk, jest, otwarta flaszka Pandory, to siup, chlup i siup, gra muzyka.

Obok bezdomny podnosi się ze śpiwora jak faraon z sarkofagu, strzepuje z niego śnieg, węszy,
patrzy na mnie spod futrzanego obszycia kaptura, Inuita po krakosku, zwabiony gorzałą zwleka
się z legowiska, idzie do mnie, patrzy szparkami zapuchniętych oczu, czeka – zaproszę go, nie
zaproszę? Kiwam głową, siada, wzdycha, spogląda tęsknie na flaszkę, szarpie brodę.

– A w zasadzie, to co pan tu tak siedzi? – pyta po chwili i przygląda mi się uważnie. – Ha, jaki
pan, jaki pan, wódkę pije, a mleko jeszcze pod nosem!

– A to starzy tylko mogą?

– A skąd, a skąd, młode, stare, wszystkie mogą, ja zezwalam! Tylko się dziwię, no bo co, domu
nie masz? Baby? Ja nie mam, to se tu siedzę. Bym miał, bym nie siedział, a?

– Nie wiem, co mam. Czy jeszcze mam, czy będę miał...

– A, czyli że z głową coś nie tego...

– Co? Nie, chodzi o to, że nowe-lepsze idzie, wie pan, komuna upada i, no, ja się niby cieszę,
ale też się boję, że mi zabiorą wszystko, że z roboty wyrzucą, że zamkną...

Nachyla się do mnie, mruży powieki w jeszcze węższe szparki.

– A, to ty jesteś tego, no, jakiś... bezpiecznik?

Odsuwam się, patrzę na niego jak na wariata.

– Nie, ale...

– Aparaczyk jakiś pewno, a?

– Nie no, w kiosku pracuję...

– Ach, w „kiosku”, tak na to mówicie w tym, no, żargonie, ha!

– Kurwa, chłopie, w RUCH-u pracuję, buda z gazetami taka, papierochy tam kupujesz, jak masz za co.

– E... – Macha na mnie ręką. – To co się dygasz?

– Bo ojciec milicjant, co prawda w drogówce i żaden tam ideowiec, mieszkanie chciał, bo gnieździł się, kurwa, w Krzeszowicach, w pokoju takim, że zimą im woda w wiadrze stała, a tu ja w drodze, mama brzuch pod brodą prawie, więc weź tu żyj tak... No, a dla milicjuchów przydział był, to się ojciec skusił, a teraz nowe-lepsze idzie, a ja syn i...

– E... pierdolicie, Hipolicie! Lody można tera kręcić, ja sam mam już byznesplan, tabliczkę tu se postawię, zdjęcia będzie można robić ze mną, krakoskim Inuitą, Beduinem czy innym chujem. Wiesz, jak to będzie żarło? Złotą dorożką będę tu na Planty zajeżdżał, ha! Żeś się nasłuchał tych rzepoluchów zasranych, lejdiupanków i dżemów, olaboga jak nam źle, olaboga, o!

– Wolę Bronski Beat...

– Co? Pewnie też rzepolą. Daj mnie tej wódki lepiej, bo za darmo cię tu wspierać nie będę, a? Kapitalizm, synuniu, kapitalizm! Ameryka! Ju-es-ej! Ju-es-ej!

Oddaję mu flaszkę i wstaję z ławki. Niczego nie rozumie.

Albo to ja.

Ja nie rozumiem i boję się, bo tylko strachu mnie uczono, tylko w kółko

a jak Ruscy

a jak wejda

a jak bomba

a jak ojca

a jak ojciec

a jak mięsa nie to weź

a jak a jak a jak

Zimno jest, luty jest i ja też jestem, uciekam alejkami przed ajakami, ale są cały czas przy mnie, już taka moja budowa, mój plan x-dziesięcioletni, w którym nowego-lepszego nikt nie ujął, nie przewidział, nie zostawił luzów we wstępnej konstrukcji.

Zawalę się. Załamie.

Wanda czeka na rogu, jeszcze otwarta, jeszcze ma dla mnie jakiś film i jakiś bilet. Kupuję go za ostatni grosz, w pustej sali pusty ja rozsiadam się wygodnie, patrzę w biel ekranu, jeszcze palą się światła, zaraz wszystko pociemnieje.

Boję się, że ją zamkną, moją Wandę.

Sala gaśnie. Ktoś siada w półmroku obok mnie, kątem oka dostrzegam biel jego bezrękawnika, skórzaną kaburę pod pachą i papierosa, który raz po raz wędruje do niewidocznych ust. Widzę tylko jego oczy, zmrużone, błyszczące, oczy bez twarzy jak w tej piosence Billy'ego Idola.

– Jupikajej, skurczybyku – szepcze wesoło. – Będzie lepiej, niż myślisz.